

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Ksiądz Krzysztof Kluk.

RODZINA BODZISZKÓW,

POGADANKA NAUKOWA.

W każdym dworku wiejskim, w każdej niemal chatce, napotkać można parę doniczek geranij; ci obcy przybysze daleko lepiej są znani od swojskich gatunków geranij, rosnących na łąkach. Bardzo być może, iż niejedna z czytelniczek naszych, czytając to, zapyta ze zdziwieniem: Alboż są dzikie geranie na łąkach? Nieraz jednak zapewne sama je zrywała, układając bukiety z polnych kwiatów, nie pytając o ich nazwę, a może nadając im polską, ludową nazwę bodziszek, bocianich lub żórawich dziobków. Trzeba wiedzieć, że i cudzoziemska nazwa *geranium* pochodzi od wyrazu greckiego, który oznacza czapłę, ptaka o długim dziobie.

Wyszukajcie na łące jakikolwiek kwiat bodziszka, a zrozumiecie odrazu, skąd pochodzi ta nazwa. Najpospolitszy, a zarazem i najładniejszy jest bodziszek błękitny, *geranium pratense*, który kwitnie w Lipcu i Sierpniu na wilgotnych łąkach i w zaroślach. Liście ma obszerne, wycinane głęboko, kwiat o pięciu działkach w kielichu, pięciu płatkach zaokrąglonych w koronie, o dziesięciu pręcikach, zrosniętych nitkami, ale dość nieznacznie. Jest to ogólna cecha tej rodziny. Bodziszek błękitny ma kwiatek pojedynczy na szypułce. Niemniej pospolity jest bodziszek żórawik, czyli cuchnący, *geranium Robertianum*, niedarmo tak brzydko przewzany, bo ma niemiły zapach. Roślina ta jest cała kosmata, liście ma pierzaste, drobno wycinane, kwiateczki różowe, nieduże, po dwa na każdej szypułce. Gatunek ten kwitnie od wiosny aż do jesieni, łatwo też obok kwiatków znajdziecie nasiona, które stanowią najwybitniejszą cechę całej rodziny bodziszkowatych.

Zawiązek odznacza się szczególną budową, u góry przedłuża się, jakby długi dziobek, zakończony pięciu rozdzielonemi ramionami. U dołu słupek ma także pięć owoczków, z których powstaje torebka nasienna o pięciu guziczkach. Sposób pęknięcia tej torebki jest bardzo osobliwy. Guziczki odrywają się od swęj podstawy, wyginają się sprężysto w bok, podnoszą się do góry, każda na osobnej nitce, a raczej szyjce słupkowej, bo szyjki te, także w liczbie pięciu, zrazu są z sobą zrosnięte. Nasiennik ten wygląda wtedy zupełnie, jak kandelabr o pięciu ramionach.

Na polach i po lasach napotkacie liczne gatunki bodziszek o kwiatach czerwonych lub lila, zawsze je poznacie najłatwiej po tych słupkach wydłużonych, do dziobków podobnych i nasienni-

kach w kształcie kandelabrow. Bodziszek krwisty, *G. Sanguineum*, przytrafia się w suchych zaroślach, kwiat ma, stosownie do swęj nazwy, krwisto purpurowy. Bodziszek błotny, *G. Palustre*, także purpurowy, odznacza się płatkami nieco wyciętemi, a bodziszek żałobny, *G. pheum*, ciemną, brunatną barwą i białemi płatkami przy nasadzie płatków.

Podobny bardzo do bodziszeków jest pokrewny im iglicznik, *Erodium cicutarium*, roślina dość pospolita, o łodygach rozpięrzchłych, kosmatych, zwykle na ziemi leżących. Liście ma także pierzaste i wycinane, do liści cykuty podobne, kwiatki różowe, w rzadki baldaszek ułożone. Kwiat iglicznika tém się od bodziszeków wyróżnia, że z dziesięciu pręcików pięć, szerszych nieco, płatkom przeciwległych, niema wcale pylników; płateczki korony są nieco nierówne.

Przy tej sposobności wspomnimy, że polskie nazwy roślin krajowych po raz pierwszy skrzętnie były zebrane przez znakomitego przyrodnika, księdza Krzysztofa Kluka, którego wizerunek wam dziś podajemy. Życiorys tego zasłużonego meża był podany w Wieczorach Rodzinnych w roku 1880. Tu więc tylko dla nowych czytelników przytaczamy, że ks. Kluk, misjonarz, urodził się w r. 1739, umarł w r. 1796. Z prac jego naukowych najważniejsze są: „Roślin pożytecznych i potrzebnych opisanie“ i „Dykcyonarz roślinny“, z którego to późniejsi botanicy czerpali nazwy polskie roślin krajowych.

Pelargonie czyli muszkatele należą do tej samej rodziny geranij, są to rośliny zamorskie, które u nas nie rosną dziko. Odznaczają się kwiatem nieforemnym. Tylina działka kielicha przedłuża się w rodzaj ostrogi czy rożka, ostroga ta jednak nie jest odstająca, ale zrasta się całkiem z szypułką. Płatki korony także są nierówne, dwa znacznie obszerniejsze, a i trzy mniejsze nie zupełnie jednakowe. Liczne gatunki, hodowane u nas w doniczkach, po większej części pochodzą z Afryki południowej, z przyłádka Dobręj Nadziei, a także i z Australii. Jeden tylko gatunek, zwany muszkatelem tauryckim, pochodzi z Azji Mniejszej. Naukowa jego nazwa jest *Pelargonium Endlicherianum*, kwiaty ma różowe, bardzo nieforemne, o dwóch płatkach malutkich prawie niewidocznych. Niepodobna wyliczyć wszystkich odmian, hodowanych w cieplarniach, wspomnimy jednak kilka pospolitszych i łatwiejszych do rozpoznania. Muszkatel strefowany, *P. zonale*, ma liście okrągławe, oznaczone w około smugą brunatną, kwiaty szkarłatne, różowe lub cieliste. Muszkatel plamiący, *P. inquinans*, liście lepkie, kosmate, a za dotknięciem plamiące palce brunatno lub rdzawo.

Muszkatel posepny, *P. triste*, kwiaty blade-żółte, woniejące przyjemnie w nocy; bluszczowaty, *P. scandens*, o giętkiej, pnącej się lodydze, liściach gładkich, klapkowanych, podobnych do bluszczu i kwiatów różowych.

Wszystkie te muskatele są to krzewy o drzewiastej lodydze. Rośliny do tej rodziny należące, tak muskatele jak i bodziszki, mają zazwyczaj zapach aromatyczny, czasem niezbyt przyjemny; wyrabiają też z nich różne olejki.

M. J. Z.

Żegnajcie dzieci *).

Witaj mi, witaj, młody kolego,
Z wzruszeniem na cię patrzałem!
I ja też czasu dziecięstwa mego
Tak żeglowałem.

Mnie też stół każdy za okręt służył,
Świat Boży był mi za mały,
Dzień bez wyprawy tak mi się dłużył,
Jakby wiek cały...

Niesłusznie wstydem czoło ci płonie,
Przy starszych zimnym poglądzie;
W górę kotwica, ster w młode dłonie,
I żegnaj lądzie!

Żegnaj, bo młodej duszy potrzeba
Bujać daleko od ziemi,
Bo na to gwiazdy mrugają z nieba,
By gadać z niemi...

Bo dziecka umysł z swego pierwiastku
Na skrzydłach marzeń szybuje,
Jak młody orzeł, choć dobrze w gniazdku,
Lotu próbuje...

Bawcie się, dziatki, to duch prorocy,
Waszój żeglugi ułuda,
I mnie bywało dość zamknąć oczy,
Bym widział cuda.

I ja się rwałem w nieznane kraje,
Płynąłem wesół po fali,
I ja mówiłem: — Tchu tu niestaje,
Więc płyniemy dalej!...

Długo przez wichry, burze, bałwany,
Goniłem wciąż szczęścia maryl,

I dziś wróciłem — ach! skołatany
I sercem stary.

Lecz to, com doznał w owęj żegłudze,
Jakże wam chciałbym powtórzyć,
By choć przynajmniej na szczęście cudze
Mogło posłużyć!

Teraz to tylko powiem wam, dzieci,
Że czcze rozumu nadzieje!
Jedno jest słońce wiary, co świeci,
Pociesza, grzeje.

Jedna nas tylko „Ranna Jutrzenka“
Z ciemności nocnych wyzwała,
Jedna co wieczór ojcowska ręka
Gwiazdy zapala.

I tylko jedna Opatrzność Boża,
Co świat miłością ogarnia,
Wskaże wam drogę, jak Gwiazda Morza,
I port, jak zbawcza latarnia.

Pobereżec.

PODPORA MATCZYNA,

powieść z czasów dawniejszych.

OFIAROWANA WŁADYSŁOWI RATYŃSKIEMU.

przez M . . a.

Jasno-złote słońce wschodziło świeżym wiosennym porankiem ponad ciemnymi obszarami wielkiej Zagajnicy. Zagajnicą wielką nazywa się, jak wiadomo, ten ogrom potężnych lasów, które częściowo zwane są puszcza nowogrodzką, puszcza skwańska, puszcza ostrołęcką. Zagajnica graniczy na północ z Prusami, na południe z Bugiem, na zachód z rzeką Orzyczem. Na wschód zaś ku Biebrzy, Narwi, i Niemnowi, ciągną się, jakby dalszy ciąg Zagajnicy, bory augustowskie, bierszańskie, i słynna puszcza białowiezka. Każdy, kto choćby z nauki geografii tylko ma jakie takie wyobrażenie o ziemi naszej, może już po samém wyliczeniu nazw powyższych wyobrazić sobie nieprzebyty prawie ogrom lesisty, jaki tę ziemię w owych stronach pokrywa na rozległej przestrzeni, stroi ją wspaniale i wzbogaca. Wprawdzie, przy dzisiejszym wyniszczeniu lasów, już i w tych lesistych obszarach niezmiernych, w tém państwie grubego zwierza, znaczne porobiono też wylomy i szkody, ale jeszcze i dzisiaj jest ono niepospolicie potężne.

Bystre rzeki, głębokie jeziora, nieprzeliczone strumyki, toczą tam czyste jak kryształ nurty pod cie-

*) Wiersz ten napisany był dla dzieci, które z wielkiem przejęciem i bogactwem wyobraźni bawiły się w okręt.

mném liściastém sklepieniem. Dziaki rozkoszują się obfitemi żółędziami. Łosie, sarny, jelenie przemykają się zrećnie i chyżo jak strzały. Pszczoły pracują gorliwie a licznie, we wnętrzu drzew zakładając swoje pracownie. Wielkie niedźwiedzie, podkradłszy się do tych pracowni, raczą się słodkim miodem, a potem przez zimę wysysają łapy i obliżują się tylko biedaki.

Im zakąt boru bardziej zapadły, im trudniejszy dostęp doń ludziom, tём swobodniej gospodarują w nim inne stworzenia Boże. Takich głuchych, zapadłych, dzikich zakątów, nie brak w Zagajnicy, i w pobliżu jednego z takich zatrzymał się raz wiosennym, pachnącym porankiem, o wschodzie słońca, mały chłopski wózek zaprzężony w jednego konia. Na wózku, wśród kilku szczupłych, najkonieczniejszych węzełków, siedziała młoda jeszcze kobieta, z małym chłopczyną na kolanach, otulonym troskliwie przed świeżym chłodem poranka. Mężczyzna, także jeszcze młody, szedł przed koniem, prowadząc go przez trudne bezdroża puszczy. Przed nim szedł młody parobczak miejscowy, Kurp', gdyż, jak wiadomo, Kurpiami nazywa się lud zamieszkujący Zagajnicę.

Parobczak ten, ochoczy i żwawy, jak wszyscy Kurpie, widocznie wskazywał drogę prowadzącemu konia mężczyźnie, a przytём uprzejmie pomagał mu silném ramieniem, to wózek chyłący się podtrzymywać, to unosić jego koła i przeprowadzać go przez trudne w lesie przeprawy. Szło to jednakże coraz trudniej, bo gęstwina coraz bardziej nieprzebytą dla wozu się stawała, a naprawdę wyglądała nawet tak, jakby stopa ludzka nie dotknęła jęj dotąd jeszcze. Olbrzymie drzewa kilkowiekowe i także przed wiekiem może już roztrzaskane potężném ramieniem burzy i piorunu, tamowały czasem drogę zupełnie. Niezmiernie bujna roślinność tak splątała się i zrosła przez długie lata z konarami takiego powalonego olbrzyma, że tworzyła się z tego prawdziwa i naturalna barykada, nie łatwa do zdobycia, choćby dla najdzielniejszych saperów nawet. Młody parobczak przewodnik doskonale był jednak z puszcą obeznany i zawsze wynajdywał dotąd jakiś przesmyk, pozwalający obejść zawadę, chociaż mężczyzna, prowadzący konia, pewien był, że dalej postąpić nie było już sposobu. Ale nareszcie, dostawszy się nad brzeg bystrego strumyka, najzupełniej pokrytego i po części zatamowanego nawet obalonemi drzewami i urwiskiem jakimś, podróżni stanęli.

— Teraz już chyba nie przejedziemy dalej, mój Stachu! — rzekł starszy mężczyzna.

— A teraz, to może i nie! — odrzekł Stach wesolo a dumnie jakoś, tak, jakby się chlubił tём,

że jego rodzinna puszcza jest taką trudną do zdobycia warownią. — Wóz i koń nie pójdą dalej, ale my pójdziemy. Tylko pani niechaj z łaski swojej odda mi paniczyka, żeby sobie rękami pomagać mogła; niedaleka już droga. A pan niech też na siebie zważa, bo choć tu wygodnie dla mnie, to państwo nie nawykli do takich wygód.

— Mój Stachu — rzekł żywo ów nazwany panem — jużem cię prosił, i teraz powtarzam i proszę, abyś nas nie nazywał państwem, bo ja jestem Jan Trzaska, taki osadnik tutejszy, jak i twój ojciec, a mój syn, da Bóg doczekać, będzie za kilkanaście lat takim samym dzielnym parobczakiem jak ty jesteś, i będzie tobie pomagał w gospodarstwie, jak ty zgodziłeś się mnie pomagać. Ale paniczykiem syn mój nie będzie!

Gdy tak mówił Jan Trzaska, tymczasem żona przy pomocy jego i Stacha wysiadła z trudnością z niezbyt wygodnego wózka, posadziwszy synka na chwilę w sianie na wozie. Wysiadłszy, wzięła znów dziecko na ręce, i dopiero na znaczące, tajemne spojrzenie męża, oddała synka Stachowi niechętnie, ale ukrywając tę niechęć ile mogła.

— Ej — rzekł Stach ze śmiechem — niech się pani nie lęka, umiem ja z dzieckiem się obejść, czy to raz brata albo siostrę trzeba mi było piastować, zanim wyrosłem z tej biedy.

Z temi słowy Stach zrećnie i szybko wziął dziecko tak, że ono nie spostrzegłszy w pierwszej chwili, co się z niem dzieje, po czasie dopiero wyciągnęło ręce do matki i zaczęło krzywić buzię do płaczu, ale wtём Stach posadził malca konno na potężnej gałęzi i nie puszczając go z rąk, zabujał tak pysznie, że dziecko krzyknęło i zakłaskało w ręce z radości.

— E, ta gałąź niedobra na huśtawkę, tam gdzie idziemy będzie lepsza, dopieroż będziemy się huścić! — mówił Stach. Wziął chłopczynę na lewą rękę, prawą zarzucił leżej konia na drzewko tak, aby koń odejść nie mógł, potem wziął jeszcze z wozu najcięższy węzełek, i skoczył z tём wszystkiём na gruby pień powalonego drzewa, które padłszy w poprzek strumienia, a raczej rzeczki, stanowiło tutaj to właśnie, co widzujemy często na rycinkach z podpisem: most amerykański.

— Nie, nie! niema żadnego niebezpieczeństwa! — mówił Stach. Dwoje podróżnych w milczeniu poszło za nim. W istocie, przeprawa ta łatwiejszą była, niż się zdawało, a to dla tego, że Stach znał miejscowość nie gorzej od sarn i zajęcy, przebiegających tu obok ludzi spokojnie. Był to dowód, że jeszcze ludzi nie znały, a raczej, że Stach, bywalec przecież tutejszy, umiał żyć z nimi w zgodzie. Przebywszy strumień taką napo-

wietrzną drogą, młody przewodnik zapuścił się w gestwinę, szedł, a raczjć pełzał jeszcze ze dwadzieścia kroków i nagle wyprostowawszy się, stanął. Dwoje ludzi, idących za nim, doszedłszy do tego miejsca, stanęło także, wydając mimowolny okrzyk zdumienia.

Przed nimi rozpościerała się prawie okrągła zielona łąka, otoczona dokoła nieprzebytą ścianą lasów. Jasno szafirowe niebo, niewidzialne już od kilku godzin wędrówki, stanowiło wspaniałą nad wspaniałemi kopułę tój sali zielonój. Strumień, dopiéro co z trudem przebyty, przerzynał tutaj tę salę przez środek wdzięcznym zakrętem, czysty, jak srebrna żywa wstęga, po białych biegnąca kamykach. Gromadka sarn z maleńkiemi sarenkami i kilka potężnych, o strasznych rogach, jak małe drzewka, jeleni, piło właśnie spuściwszy szyje, przyczem rosochate rogi zatapiały się aż do połowy w srebrnym strumieniu.

Na ów niespodziany okrzyk ludzkiego zdumienia, zwierzęta przestały pić, podniosły łby i przypatrywały się ludziom ciekawie, przechylając szyje to na prawo, to na lewo, bez najmniejszej płochliwości.

Bujne, różnobarwne kwiaty chwiały się tu i ówdzie na zielonym łąki kobiercu pod powiewem porannego wietrzyka.

Widząc to wszystko, maleńki chłopczyna na rękach Stacha, rozradowany i zachwycony, wyciągnął rączki do tych cudów barwistych, ozłoconych wschodzącem słońcem. Kwiaty, drzewa, i trawki, odpowiedziały na ten gest dziecka, kłaniając mu się tylko zdaleka, poważnie, pod wpływem świeżego wietrzyka. Starsze zwierzęta patrzyły ciekawie, nie ruszając się jednak z miejsca, jakby uważały, że nowy przybysz nieznany powinien pierwszy zbliżyć się do nich. Ale małe sarniátka, popatrzawszy krótką chwilę, dostrzegły zapewne jakiegoś podobieństwa pomiędzy sobą i maleńkim gościem, który do nich z rąk dużego Stacha rączki wyciągał, bo wesoło w krótkich podskokach podbiegły i podnosząc śliczne łebki, a wyciągając szybki giętkie, wachały i dotykały jego rączki, patrząc na niego przesłicznemi oczami. Wyjątkowo piękne oczy i u ludzi zowią: sarniém spojrzeniem, to też gdy przesłiczne zwierzątka łzawemi, czarnemi oczkami, pełnemi ufności, wpatrywały się w dziecko, a ono zachwycone objęło rękami szyjkę sarenki, kobieta podróżna, przejęta nagle niewypowiedzianém wzruszeniem, wybuchnęła gwałtownym płaczem; padłszy na kolana i zakrywając twarz rękami, szeptała:

— Boże mój, Boże! dobry jesteś, raj stworzyłeś, zmiłuj się, zmiłuj nad nami!

Jan Trzaska zdjął kapelusz i patrzył w niebo

milcząc, ale z wymowném spojrzeniem. I on się modlił. Ten leśny zakątek naprawdę wyglądał tak, jak raj sobie wyobrażamy; przyszli jego mieszkańcy witali go modlitwą.

Tymczasem zwierzęta, zaspokoiwszy pragnienie, odeszły spokojnie w głąb lasu, a Stach, puściwszy malca na ziemię, rzekł po chwili milczenia, gdy podróżni skończyli cichą modlitwę:

— Otóż to o tój łączce mówiliśmy mój ojciec i ja, tu będziecie mogli państwo żyć spokojnie przy pracy, jak w prawdziwym raj, i dla tego natychmiast przyszło nam na myśl to miejsce, gdyście przybywszy do nas pytali o kąć cichy do pracy i modlitwy. Raz, już dawno, gdy ledwo wyrostkiem byłem, dokuczyłem słabszemu ode mnie chłopcu, za co ojciec mój ukarał mię surowo. Ponieważ byłem krnąbrnym urwisem, tedy zamiast uznać moję winę, oburzyłem się, oskarżałem ojca o niesprawiedliwość, i rozżaliwszy się, uciekłem z domu. Uciekałem w najnieдоступniejszą gestwinę, i tak przypadkiem zaszedłem tutaj. Podobało mi się tu tak bardzo, że postanowiłem pozostać tu na resztę życia, zdala od niesprawiedliwości ludzkiej. I otóż dla tego ręczyłem, że można tu wyżyć swobodnie, bo ja sam żyłem tu przez trzy miesiące. Było mi doskonale, byłbym tu pozostał może na zawsze, gdyby nie to, że zaprzyjaźniwszy się ze zwierzętami spostrzegłem, iż one nigdy nie dokuczają sobie wzajemnie; silne okazują nieraz jakby litość i wspaniałomyślność względem słabszych, a nawet i mięsożerne, żywiąc się i polując tak prawie, jak człowiek na zdobycz, nigdy przecież nie dręczą zwierzęcia słabszego i nie pastwią się nad niém. Porównałem obyczaje te zwierząt z mojemi, i wstyd mi zdjął okrutny. Zapewne samotność uczyniła mię skłonnym do rozmyślań, której to skłonności nie miałem wprzódy. Zacząłem zastanawiać się nad sobą i poznałem, że nie mój ojciec był niesprawiedliwym, tylko ja. A nareszcie pojąłem, że byłem niegodziwym dzieciakiem, zasługującym teraz na większą jeszcze karę, niż ta, która mię oburzyła poprzednio. Zrozumiawszy to, powróciłem natychmiast do ojca, oświadczając, że przychodzę po zasłużoną karę, i opowiedziałem, gdzie byłem, co robiłem i co myślałem. Ku wielkiemu mojemu zdumieniu, ojciec uściskał mię i rzekł:

— Jeżeli cię karałem, to tylko dla tego, aby przykrość kary pobudzała cię do rozważania błędów twoich i do poprawy; otóż teraz poprawił cię wstyd, jaki uczułeś poznawszy, że ty, człowiek, gorzej postępowałeś od zwierząt. A więc gdy poprawiony jesteś, to ja nie potrzebuję cię karać.

Odtąd nie zasłużyłem już nigdy na gniew ojca, a on często powiada, że samotność i obcowanie

z naturą obudziły we mnie pojęcie sprawiedliwości.

Trzaskowie słuchali opowiadania Stacha, siadłszy nad strumykiem, by spocząć po uciążliwej wędrówce. Kobieta uspokoiła się, wyjęła z kieszeni mały kubek drewniany i czerpała nim czystą jak kryształ wodę do picia. Pan Jan bacznie rozpatrywał się po zielonej łączce, która miała stać się jego mieszkaniem takim prawem, jakim pierwsza lepsza rosochata gałązka staje się mieszkaniem ptaka, który na niej gniazdko swoje urządza.

— A dzikie zwierzęta? jakże ty sobie z niemi tu radziłeś? — zapytał pan Jan.

— Żubry tu wcale nie bywają — odrzekł Stach — bo i zwierzęta przecież osiedlają się miejscami, gdzie im wygodniej. Dzikie także nie przychodzą, bo tu mało dębów, a o pół mili z tąd właśnie samym dębem puszcza zarasta, więc tam jest dzików mieszkanie. Tu pełno jest tylko sarn, zajęcy, jeleni, tam poniżej rzeczki są bobry. Z grubego zwierza są tylko niedźwiedzie; ale niedźwiedź dobry jest zwierz, niepodrażniony, nie robi krzywdy, a zresztą, od czegoż strzelba i nóż?

Mówiąc te słowa, Stach pogłaskał strzelbę, którą miał na ramieniu przewieszoną i duży myśliwski nóż za pasem. Pani Trzaskowa na wzmiankę o niedźwiedziach przytuliła synka do siebie. Trzaska westchnął, spoglądając na żonę i dziecko, a Stach, widząc to wszystko, dodał:

— Oj oj, łatwiej to jeszcze z niedźwiedziem nieraz żyć, niż z ludźmi.

Na te słowa Trzaskowie spojrzeli wzajem na siebie. Pan Jan pomyślał przez chwilę, wstał i kładąc rękę na ramieniu Stacha, rzekł:

— Zgodziłeś się do mnie za parobka, chłopcze, ale mowa twoja i myśli, jakie nią wyrażasz, staranniejsze zdradzają wychowanie?

Mówiąc tak, Trzaska badawczo spojrzał chłopcu w oczy. Stach popatrzał mu także wzajem w źrenice, jakby się rozmawiali spojrzeniami, i oba uśmiechnęli się, wyczytawszy wzajemnie w tych oczach, duszy zwierciadłach, że ufać sobie mogą, bezpieczni, bo oba uczciwymi są ludźmi. I rzekł Stach:

— Ja, to jest my, jesteśmy prawdziwi Puszcza-ki. Inni są Kurpie, albo raczej Karpie, bo podobno przed wiekami ojcowie ich przybyli tu z niezbyt dalekich krain, z północno-wschodniego stoku gór Karpat. Mają też oni czarne oczy, jak dyamenty i włosy, jak krucze pióra. Ale tacy, jak my, zbiegli się tu przez wieki ze wszystkich stron pięciu państw, z którymi ta puszcza graniczy, z Polski, Litwy, Rosyi, Prus i Niemiec. Gdzie komu było za ciężko z biedą się borykać wśród ludzi, uciekał do tej puszczy i osiedliwszy się zo-

stawał Puszcza-kiem. Wiem od ojca, jak on wie od swego, że od dawnych czasów sejmy polskie skazują też przestępców na wygnanie do tej puszczy, co się nazywa, że wyświecają ich. Jeżeli tam byli między nimi ludzie niebezpieczni dla bliźnich, to musieli się z pewnością przerobić z czasem na dobrych, pod wpływem leśnego życia, i pracy swobodnej, bo teraz są tu sami poczciwi tacy, że każdego warto bratem nazwać.

Stach zamilkł na chwilę, bo zajęty był właśnie struganiem maleńkiego zgrabnego konika, której to robocie mały Trzaska niezmiernie ciekawie się przyglądał. A wtém, jakby sobie co przypomniał Stach, dodał z uśmiechem, żywo głowę podnosząc:

— Ale my, panie Trzasko, my z własnej ochoty tu przybyli, jak wielu zresztą. Są tam w naszej chacie na półce stare papiery w skórzanęj kalecie, z których w potrzebie wywieśćby można niezbitymi dowodami, że za dawnych czasów jeden z synów pana Paca, uprzykrzywszy sobie gładkie a pańskie życie, pełne ludzkich podstępów i zataigów, uszedł tu na puszcę i żył szczęśliwy, jak Bóg przykazał, i jak dotąd żyją jego praprawnuki!

Domawiając tych wyrazów, Stach z uśmiechem dotknął palcem piersi. Był on taki rażny, swobodny, ochoczy, że patrząc na niego i smutnym weselej się robiło. Rozśmiał się też Trzaska, nie tając jednak zdziwienia:

— Jakto! — zawołał — a więc to potomek Paców godzi się do mnie na służbę? i to wcale nie dla zarobku, bo widziałem zamożność w waszym domu. A zatém zgadłem podejrzewając, że nie jesteś pospolitym parobczakiem. Ale dla czegoż to czynisz?

Stach potrząsł głową.

— A właśnie, że jestem najpospolitszym parobkiem — odpowiedział ochoczy — bo tu u nas wszyscy są równi, każdy sobie pan, sobie sługa, a drugiemu pomaga, kto może. Pradziad Pac, gdy tu przybył, znalazł zaraz gościnność i pomoc w budowaniu chaty, i dla tego przykazał synowi umierając, aby odpłacał to ludziom taką miarą, jak jemu mierzono. Przechodzi to u nas z ojca na syna. Każdemu podróżnemu, który do naszej chaty zapuka, pomaga się tak, jak wam, a że godzimy się nie za zasługi, tylko na wspólną pracę i wspólne korzyści, przeto nikomu to nie ubliża, bo nie praca hańbi!

— Ha, kiedy tak, to i my nie zginiemy między wami i pomieścimy się w puszczy — wesoło jakoś na ten raz zawołał Trzaska. — Słyszałem ja dawniej o takich tutejszych obyczajach, ale nie ze wszystkim powieściom wierzyłem i z niepokojem jechałem, ale teraz już duch we mnie wstąpił, od-
kąd was poznałem. A zatém do pracy! bo już

odpocząłem, a nigdy chyba większej do niej ocho-
ty nie miałem, jak teraz. Od czego zaczniemy?
ja myślę, żeby najprzód jaki taki szalas na schro-
nienie zbudować? ale ty mów sam, a ja ciebie
będę słuchał, bo się znasz na rzeczy i na to wy-
chodzi, że z parobka opiekunem naszym zostajesz.
(D. c. n.).

OLSZTYN.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W DWÓCH AKTACH.

przez Sewerynę Duchinią.

(Dależy ciąg).

AKT DRUGI.

(*Wnętrze baszty. W górze, po prawej stronie, wi-
dać okno opatrzone kratą, poniżej okna kręte
wschodki prowadzą na wierzch baszty. Z lewej
strony widać inne wschody, wiodące do zamkowych
komnat. Te wschody w dalszym przedłużeniu pro-
wadzą w głąb ciemnego lochu pod basztą. Noc
jeszcze ciemna. Wojski, z latarką w ręku, zstępuje
od strony zamku, za nim Zofia blade, odziana
niedbale.*)

Scena 1.

WOJSKI, ZOFIA.

WOJSKI.

Oj dziecko z ciebie! co chcesz czynisz ze mną!
Potrzebne rzeczy, jak mara, tajemno
Błąkać się samym wśród takiej ciemności;
Jeszcze gdzie stare pogruchoć kości:
Schody spróchniałe gną się pod stopami.

ZOFIA.

Ufajcie, stryju, Bóg czuwa nad nami.

WOJSKI.

Jakże tu straszno! kruk w strzelnicy kracze,
Żałobnie kwilą na wieży pułhacze:
Nic to dobrego nie zwiastuje pono!

ZOFIA.

Kto z nas odgadnie, co w niebie sądzono?
Jeszcze dwa schody, ot i wewnątrz wieży.

WOJSKI.

Z gniazd się ruszyły roje niedoperzy,
Światło z latarki znać kole je w oczy;
Poczekaj, dziecię, siadę na uboczy,
Ty się do okna wdrzyj po drabinie.
(*Wskazuje kręte wschodki; Zofia przebiega śmiało
wązkie szczeble. Wojski przyświeca jej latarką,
a potem siada poniżej wschodków i stawia latarkę
przy sobie.*)

WOJSKI (na stronie).

Dziwna, zaprawdę, śmiałość w tej dziewczynie,
Niech sobie patrzy, ja zmówię różaniec.

ZOFIA (*patrząc w okno*).

Jasno przyświeca na wieży kaganiec,
Czyż ty go widzisz, Zbigniewie, w tę chwilę?
Może on na twój odbłyska mogile!
Jeśli już z ciała duchem wyzwolony,
Tajemnie zbiegasz zaświatowe strony,
Zbliż się tu do mnie, stań, maro, przed oczy,
Wszakże nas święcie ten pierścień jednoczy;
Pomnij, com rzekła: „Za życia, czy w grobie,
Jam na wiek wieków poślubiona tobie“.

(*Przypatruje się chwilę*).

Gwiazdy już gasną, mgła pomału spada,
Wróży pogodny dzień jutrzeńka blada;
Wnet niebo ranne zarumienią zorze.

(*Słychać huk armat*).

Działa zagrzmiały.

WOJSKI (z trwogą).

Biada nam!

ZOFIA (*składając ręce*).

O Boże!

W tobie nadzieja!

(*Słychać coraz głośniejszy huk dział*).

WOJSKI.

Aż wstrząsa się dusza.

ZOFIA (*przyglądając się*).

Nasza załoga na szaniec wyrusza.

O! co ja widzę!

WOJSKI (*żywo*).

Mów!

ZOFIA (*wskazując ręką w okno, mówi coraz
żywiej*).

Słupy z płomieni

Buchają w górę na całej przestrzeni;
Łuna się szerzy, jak morze ogniste,
Nad Jasnogórą.

WOJSKI (*zalamując ręce*).

Ratuj nas, o Chryste!

(*Słychać wrzawę w zamkowym dziedzińcu, trąbka
daje hasło załozde*).

ZOFIA.

Słyszę Janusza, zwołuje załogę,
Trąbią na podjazd. O! czemuż nie mogę
Tych czarnych kłębów orlęm przebić okiem?
Krwawo dzień wschodzi za dymu obłokiem.
(*Daje się słyszeć stąpanie w wschodach, prowadzą-
cych do komnaty*).

Cóżto za hałas?

WOJSKI (*przyskakiując się*).

Jak widzę, Chorąży

Wiedzie tu naszych; oj, żywo coś dąży
W bezpieczną ustron...

(*Słychać nowy huk armat*).

Zatrzęsły się szyby!

Krakowskie działa grzmiały tak bez ochyby,
O, czyż dziś zguby ujdzie Częstochowa!

Scena II.

CİZ SAMI, CHORAŻY, STAROŚCINA, DOMOWNICY

(Stary domownik ukazuje się z pochodnią w ręku, za nim idzie Chorąży i Starościna, dalej domownicy).

CHORAŻY *(do Starościny na wschodach).*

Tu was od szwanku Opatrzność zachowa,
A gdy te baszty dziki Szwed oskoczy,
Ogniem z tych dzielnic luniemy mu w oczy.

STAROŚCINA.

Jak tu okropnie, strach duszę pochwyca,
Jakby z tych pieczar wiał d uch Borkowica!
(Chorąży wchodząc do wnętrza baszty ze Starościna i orszakiem domowników, daje znak staremu słudze, aby się zbliżył z pochodnią do otworu pieczary; sługa przyświeca).

CHORAŻY *(wyciągając rękę w stronę lochu).*

Jeszcze barłogu dopatrzeć tu ślady,
Na których zbrodzień za niecne szkarady,
Mękami płacąc krwi chciwość wyrodną,
W tym czarnym lochu śmiercią konał głodną.
Tutaj spalone usta wojewody
Gasiły płomień w wiadrze mętnej wody;
Tu żuł zgłodniały, jak bydlę, garść siana,
A gdy go boleść trawiła nieznana,
Gdy mu już siana i wody nie stało,
Wściekły, zębami własne szarpał ciało.
Oh! po wiek wieków zachowa ta wieża
Ślad krwawej pomsty króla Kazimierza!

STAROŚCINA *(z litością).*

Zamorzon głodem! wyrok niesłychany.

CHORAŻY.

Czemuż mu było knuć z Wielkopolicy
Zamach na świętą pomazańca głowę,
Skrycie podżęgać zamieszki domowe!
Polskiemu panu, czyż wbrew obyczajom,
Wolno hetmanić rozbójniczym zgrajom;
Kraj swój zalewać potokiem krwi bratniej,
I na herb ojców srom ściągać ostatni?
Za takie sprawy niczém topór kata!

*(Słychać łoskot u okna).*STAROŚCINA *(z przestrachem).*

Co tu za łoskot: zaszczęknęła krata!

CHORAŻY *(podchodzi i spostrzega Wojskiego).*
Kto tu!

Ja, bracia.

STAROŚCINA *(niepokojnie).*

Gdzie dzieweczka nasza!

Co się z nią stało?

CHORAŻY *(z uśmiechem, wskazując Zofię).*

Nic jęj nie ustrasza,

Jakby wiewiórka wdrapała się w górę.

(Do Zofii).

Mówże, co widzisz?

ZOFIA.

Czarną dymu chmurę;

Czasami płomień do góry wybieży,
I złoci szczyty Jasnogórskiej wieży.

CHORAŻY.

Więc stoi cała!...

ZOFIA.

Widzę ją w tej chwili.

(Działa grzmiać coraz bardziej).

STAROŚCINA.

Dziś los się wojny stanowczo przechyli,
Wszak nigdy jeszcze tak działa nie grzmiała.

CHORAŻY *(do Zofii).*

Cóż widzisz więcęj?

ZOFIA.

Widzę obóz cały,

Już coraz widnieją; świt na niebie płonie.
Boże!

CHORAŻY.

Mów!

ZOFIA *(żywo).*

Szwedzi tu, ku naszemu stronie,

Cwałem z prawego zawrócili skrzydła.

WOJSKI *(z trwogą).*

Co? ku nam pędzi ta zgraja obrzydła?

CHORAŻY.

Ufajmy w Bogu! już Olsztyna skały
Grad kul ognistych nieraz odrzucały,
A stoją cało! Pomnę on dzień trwogi,
Gdy nasz Karliński, na czele załogi,
Odparł ztąd groźne hufce Rakuszana.

STAROŚCINA.

Drogożo, bracie, przyszła mu wygrana!

CHORAŻY *(z wzrastającym zapalem).*

O! wszak mu zbrodnią niesłychaną w świecie

Porwał z kołyski wróg jedyne dziecko,

I na ojcowskie wystawił je działa;

Pomnę, jak matka przybiegła struchlała,

Jak u nóg męża tarzała się w prochu.

Cała załoga czekała w popłochu

Na rozkaz wodza. On straszne rzekł słowo!...

Lecz działa milczą, brzmi rozkaz na nowo,

Ale żołnierstwu lont wypada z ręki,

Serca im wątlą macierzyńskie jęki.

Wódz spojrział w niebo:—Jam zaprzysiągł wiare—

Na głos zawoła — i spełnię ofiarę!

Porwał płonący lont z ręki żołnierza,

Blady i drżący, sam działa wymierza;

Wtém huk się rozległ, błysk olśnił nam oczy,

Upadła matka... krew Rakuzka broczy

Brzegi strumienia, a z nią po dolinie

Dziecka Karlińskich krew niewinna płynie;

Pierzcha wróg, ojciec oplakuje syna,

Lecz polski sztandar wieje z wież Olsztyna:

(Do Zofii).

Mów! co tam widzisz?



Statki bambusowe w Chinach. (str. 491).

ZOFIA.

Już Szwedy zaśląły

Całą dolinę, już suną pod wały.

WOJSKI.

Boże! ratunku!

CHORAŻY (do domowników).

Co żywo do broni!

(Wybiega, a za nim studzy).

Scena III.

STAROŚCINA, WOJSKI, ZOFIA, DWAJ STARZY
DOMOWNICY.

STAROŚCINA (Do Zofii).

A Częstochowa?

ZOFIA.

W płomieniach!

WOJSKI (z trwogą).

Już po niej!...

(Słychać huk trąb i odgłos bębnow).

STAROŚCINA (do Zofii).

Wyteżaj, Zosiu, twe oko sokole,

Mów nam, co widzisz!

ZOFIA.

Stanęli w półkole

Tuż pod szańcami.

WOJSKI.

Wnet zahuczą działa.

ZOFIA.

Co widzę! nasza chorągiew powiała!
Zapewne odsiecz... bo Szwedy spłoszone,
Jak wicher pędzą tam, na Szlązką stronę.
Olsztyn ocalon, tak !...

STAROŚCINA (*niespokojnie*).

A Jasna Góra?

ZOFIA.

Jeszcze ją słoni mętna dymu chmura,
Lecz coraz słabiej... już pierzcha osłona,
Błyskają wieże!... o tak, ocalona!...

(*Zofia zbiega od okna*).

STAROŚCINA.

Twoja w tém sprawa, o Bogarodzico!

WOJSKI (*po chwili*).

Umilkły działa!

ZOFIA (*wskazując ręką w okno*).

Jak cudnie tam świecą

Wieże w odblasku słonecznych promieni.

(D. n.).

TYDZIEŃ W WENECYI.

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY.

I.

Tylko co ukończyłam nauki, kiedy zwiedzając wiele miejsc pięknych i ciekawych z dawniejszą moją wychowawczynią, zatrzymałyśmy się w Innsbrucku. Myślałam, że na tém będzie koniec podróży, nigdy mi się nie śniło, że za parę dni ujrzę Wenecyę. Wiele o niej czytałam pięknych opisów, słyszałam zdań najrozmaitszych; jedni utrzymywali, że jest miastem pełnem artystycznego wdzięku, jedynem w swoim rodzaju; drudzy zaś, że dziś wygląda już jak szkielet, chylący się ku zniszczeniu, brudno, a życie w niej nieznośne i nudne. Dziwiły mię mocno tak zupełnie sprzeczne dwa zdania i myślałam: jak też to jedno i to samo miejsce wywołuje sprzeczne wrażenia w oczach przybyśców i jak każdy z innego punktu widzenia zapamiętuje się na wdzięk, piękno, a tém samem i przyjemność każdy na swój sposób rozumie.

Kiedy stojąc przy oknie podziwiałam tyrolską stolicę z jej cudownymi lasami, szczytami gór, których wierzchołki pokryte śniegiem dziwny stanowiły kontrast z bujną roślinnością, ścielącą się u stóp zupełnie nagich wzgórków, to znów opasanych mgłą ciemną; jakby spopielałe głowy widniały zdale groźne łańcuchy, zdające się odpychać swoją ponurą powierzchownością, zagradać drogę do dalekiego widnokręgu, na który mieszkaniem nizin z radością spogląda, bo zdaje mu się, iż z większą swobodą tam oddycha, może puścić wo-

dze myślom, a nie więzić ich w zamkniętem kole. I tak stałam, rozmyślając nad wielu rzeczami, jakie mi te szczęśliwe dni mojej podróży pozwoliły widzieć i podziwiać, gdy nagle towarzyska moja zapytała, czybym nie chciała udać się z nią do Wenecyi? wszak to już nie daleko, za parę dni możemy oglądać miasto tak ciekawe i mające w sobie tyle uroku!

Zgodziłam się jak najspieszniej na tę propozycyę. Nazajutrz, ułożywszy pakunki nasze, udałyśmy się na dworzec kolei żelaznej, z kąd posłałyśmy ostatnie spojrzenia pięknym widokom stolicy tyrolskiej.

II.

Wyruszyłyśmy przez Brenner; piękna ta droga jest jedną z dróg najdawniejszych w Europie. Przebywali ją niegdyś Rzymanie, a kolój, istniejąca od roku 1864 jest prawdziwie wspaniałą, budząca co chwila podziw; jak wiele musiała kosztować ludzkiej pracy, aby zwalczyć wszystkie przeszkody, jakie tu co chwila napotymano wśród tych groźnych piękności przyrody! to też przebywałyśmy mnóstwo tuneli, bo coś do dwudziestu dwóch, a wiaduktów i mostów około sześćdziesięciu.

Z rana zwykle widok zasłaniała nam cokolwiek mgła, nie mogłyśmy swobodnie podziwiać cudnych krajobrazów, ale około godziny dziesiątej, jedynastej, gdy niebo było pogodne, wtedy zdawało się, iż co chwila nasuwają się inne, coraz to wspanialsze widoki, zdolne zająć i w podziw wprowadzić najbogatszą fantazyę artysty.

Doznawałam silnego wrażenia, nie tylko patrząc na przesuwające się przedemną widoki, ale słuchając tej dziwniej muzyki, tych szmerów, budzących się wśród ciszy, jakby przyroda gwarzyła sama z sobą. Stare to muszą być dzieje! jednak nowe dla każdego wędrowca, który z świeżą, nie zmęczoną jeszcze wyobraźnią, ogląda te dziwne przyrody.

Od czasu do czasu można było dostrzedz mnóstwo domków, rozłożonych po rozmaitych rozdołach, przy brzegach gwarzącego strumyka, lub też rozrzuconych po górach, gdzie sprawiają zupełnie wrażenie gniazdek ptasich; nieraz tak zwieszają się z krańca gór, że niebezpieczeństwo zdaje się co chwila im grozić.

Myśl moja zawisała nad chatką góralską, ubogiem nędznem życiem jej mieszkańców, gdy ocknęłam się na widok wspaniałych zamków średnio-wiecznych władców. Jeden mi szczególnie utkwił w pamięci, to zamek hrabiego *Thun*. Na wyniosłej górze, jakby umyślnie tu ustawionej, nie graniczącej z żadną inną, opasany w około wodą, dumnie przedstawia się widzowi. Tak siedząc

przez dwa dni w wagonie, żałowałam, że nie mogłam zatrzymać się w każdym miejscu ciekawem, aby się lepiej rozpatrzeć, wysłuchać legend zajmujących, które musiały się przechować wśród ludu.

Już była godzina ósma, lub dziewiąta wieczorem, gdy zawołano nam nad uchem: „Ala“! Była to już granica włoska. Ujrzałyśmy nagle kilku mężczyzn o bladłej cerze, czarnych, iskrzących oczach, w długich płaszczach i dużych czarnych kapeluszach. Pięknie im w tym malowniczym stroju, ale na pierwszy rzut oka jakoś się dziwnie ponuro przedstawiają. Tu zrewidowano nasze rzeczy i siadłyśmy do nowego pociągu, który nas dowiózł do Werony.

Późno już było bardzo, nie można było zatem nic zwiedzać, a miałyśmy jeszcze kilka godzin przesiedzieć na dworcu kolejowym i wyczekiwać pociągu, przychodzącego z Mediolanu. Nie żałowałyśmy jednak tego, przedstawił się nam dziwnie zabawny, a zarazem miły widok. Przechadzając się po platformie i zachwycając się piękną nocą księżycową, a dziwiąc się zarazem mnóstwu nietoperzy, jakie wciąż krążyły nad nami, usłyszałyśmy: krzyk, śpiew, a w końcu gwizd lokomotywy. Był to ogromny oddział wojska, w pięknych strojach; były tam najrozmaitsze mundury, czarne, złotem szyte, niebieskie, białe, misternie wyszywane, a czarne duże kapelusze z piórami milędz się przedstawiały oku, niż sztywne kaski niemieckie i inne.

Nie wiem dla czego, ale cały ten oddział biegł w około pociągu, gwizdał, śpiewał, jakby uniesiony jakimś dziwnym szaleń. Śmiałyśmy się z kilku osobami znajomymi, mówiąc, że się już nam na wstępie karnawał wenecki przedstawił. Potem wsiadło to wojsko do wagonów i w miarę, jak się lokomotywa zaczęła pomaleńku ruszać, dobywano głosów i śpiewano chórem.

Cała nasza uciecha się skończyła i mogłyśmy już śmiało puścić się w dalszą drogę. Wsiadłyśmy do wagonu drugiej klasy, ale był tak niewygodny, że nie zdarzało mi się jeszcze w żadnym znanym mi kraju nic podobnego napotkać; przytém miałyśmy jeszcze bardzo niemiłego sąsiada, Włocha, który w żaden sposób nie chciał pojąć, że w tym wagonie wzbronione było palenie tytoniu, pomimo to, że wskazywałyśmy mu parę razy nadpis, świadczący o tém.

Niewywczasowane, zmęczone kilkodniową podróżą, w końcu usnęłyśmy smacznie, gdy nagle dał się słyszeć głos konduktora. „Padua”. Zerwałam się co prędzej, żeby ujrzeć to miasto, sławne niegdyś swoim uniwersytetem.

Potém znów przesuwaliśmy się przed oczyma naszymi widoki innego rodzaju: klasztory na wynio-

stych górach, otoczone pięknymi ogrodami, duże winnice, a mnichów i zakonnic mnóstwo po ulicach dostrzegałam. Padwa, niestety! przemknęła mi tylko przed oczyma, nie mogłam się tam zatrzymać, bo czas naglił, by się jak najspieszniej dostać do Wenecyi. Pędziliśmy więc pośpiesznym pociągiem coraz dalej; po kilkogodzinnej podróży, wjechaliśmy na długi most, który prowadzi aż do samego dworca kolei. Ten most jest jednym z największych na całym świecie. Mnie zaczynał on niecierpliwie, tak radabym była ujrzeć jaknajprędzej Wenecyę, choć nie powiem, aby widok na laguny nie był także ciekawy i zajmujący.

Będąc Ukrainką, lubię spoglądać w bezmierną dal, gdzieby oko swobodnie bujać mogło. Z rana szczególnie laguny owe przesłonięte były mgłą ciemną, a cienie te przesuwali się w postaci groźnej, lub rozwiane wśród niebieskawej tęczy, tworzyły fantastyczne widziadła, woda migotała dziwnie miłym blaskiem, jak uśmiech radości przelotny na poważnem obliczu. Nas kolej unosiła coraz dalej i chylę, gdy w końcu ujrzałyśmy się na dworcu.

Tu schodząc ze schodów, nie powiem, ażebym doznała bardzo miłego wrażenia, patrząc na mnóstwo czarnych gondoli, które jak ptaki szybko migająłły jedno przed drugim; niektóre z nich kołysały się powolnym ruchem, a piękni i zręczni gondolierowie wykrzykiwali co chwila do tłumnie gromadzących się przybyszów: „Una barca! una gondola”! Nie wiedziałyśmy wtedy, że o wiele jest lepiej i dogodniej brać gondolę, aniżeli płynąć wodnym omnibusem, ponieważ ten posuwa się wolniej, a że jest prawie zewsząd zakryty, utrudniałtém samem dojrzenie w całej okazałości głównych ulic tak wspaniałego i niezwykłego miasta.

Minus. (d. c. n.)

Statki bambusowe w Chinach.

Bambus jest to trzcina drzewiasta, właściwa strefom zwrotnikowym, rosnąca najobficiej w Azji i wyspach do tego lądu należących. Indyjanie, Chińczycy i inni mieszkańcy tych krain, najrozmaitsze przedmioty wyrabiają z tych giętkich, mocnych łodyg; budują z nich domki, altanki, pokrywają dachy, wyplatają sprzęty, a nawet i statki bambusowe bardzo są pospolite, zwłaszcza w Chinach. Rycina nasza przedstawia całą flotę takich bambusowych statków i tratw na rzece Han w Chinach.

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

Dla Williama i jego towarzyszy było coś niezrozumiałego w postępowaniu Makalolosów. Dzielnego niezaprzeczenie w zapasach z nieprzyjacielem, teraz, gdy go widać nie było, uciekali z niewypowiedzianą trwogą. Kongo z polecenia Williama zapytał wodza o znaczenie tej sprzeczności.

Makora nie zaprzeczał temu, ale zapewnił, że biali jego przyjaciele nie dziwiliby mu się pewnie, gdyby znali zwyczaje i wojenne podejścia Moselekatsego i jego wojowników. Wódz nie zapomniał rozstawić na okolo straży i podjazdów. Jakoż po kilku godzinach drogi, podjazd jeden przybiegł, dając znać, że Matabelesowie ścigają znowu niefortunne pokolenie. Tak, jak to przewidział Makora, czatowali oni cierpliwie na wyjście jego ze stanowiska niepodobnego do zdobycia.

Henryk i Arend, śpiąwszy wierzchowce, poskoczyli naprzód, upatrując znów miejsce, któreby się dało ufortyfikować. Ale kraj, który teraz przebywano, był płaski i otwarty, nie było w nim odpowiedniej miejscowości.

— Już odbiegliśmy dosyć daleko — rzekł Henryk, gdy przebyli z milę drogi — oni nie zdążą za nami, bo ich nieprzyjacieli dogoni, wracajmy!

— Tak... — mruknął Arend machinalnie, przypatrując się z uwagą jakiemuś oddalonemu przedmiotowi.

Henryk spojrzał także w tę stronę i po chwili z podziwieniem rozpoznał gromadkę, z jakich stu ludzi złożoną, zbliżającą się szybko.

— Okrążają nas! jesteśmy otoczeni! — zawołał Arend. I zawróciwszy, obaj będąc biegli do swoich.

— Makora miał słusność — rzekł Henryk, dopadłszy do Williama. — Nie powinniśmy byli opuszczać stanowiska, w którym mogliśmy tak doskonale drwić z tych niegodziwych Matabelesów. Popełniliśmy błąd wielki.

W chwili, w której Makora dowiadywał się, że nieprzyjacieli ukazuje się przed nim, otrzymał również doniesienie od swoich tylnych straży, że Matabelesowie silnym oddziałem zamierzają uderzyć nań z tyłu.

Hans, William i Henryk poczęli uznawać w duchu, że biali kupcy może i nie zupełnie źle uczynili oddalając się tak śpiesznie. Ludzie ci zapewne uważali życie za rzecz zbyt szacowną, aby je narażać bez ważnych powodów. Wspomnienia

progów rodzinnych, i osób ukochanych, i zamiarów ulubionych na dalsze życie, budziły się w duszach młodych ludzi. Mimowoli przyszło im na myśl własne niebezpieczeństwo. Ale zaudalenie byli prawni i szlachetni, aby mieli pomyśleć o opuszczeniu teraz zacnego wodza, którego sami narazili na nieszczęście. Zwrócili oczy na Williama, a spokój, z jakim młody olbrzym opatrywał ukochaną strzelbę, wpłynął dzielnie na umocnienie ducha trzech jego towarzyszy. On podobno nawet wcale nie pomyślał o samym sobie, zajęty tylko obowiązkiem swym względem człowieka, od którego doznał tyle dowodów przyjaźni i poświęcenia. Wtedy wódz zatrzymał się, wydał zwykły swój w takich razach okrzyk, tak przenikliwy i tak dobitny, że był słyszany o milę.

Natychmiast ci z jego podwładnych, którzy znajdowali się z trzodami na samym czele pochodów, odpowiedzieli wedle zwyczaju na to hasło wodza.

A wtém ozwał się z oddali na przedzie drugi jeszcze taki sam okrzyk, zaledwo słyszalny z powodu odległości, lecz mimo to poznano go od razu: Makalolosy zaczęli skakać jak szaleni, wykrzykując:

— Sindo! Sindo!

I wszystko, co żyło, popędziło naprzód. Wkrótce spotkano sporą gromadkę pobratymców, poprzedzającą daleko jeszcze liczniejszy główny oddział, który przybywał im w pomoc.

Poselstwo Sinda i jego towarzyszy udało się nadszperkować. Zdarzyło się bowiem, że w tym czasie właśnie królowa Ma-Moczisana zwiedzała południowe strony swego państwa w towarzystwie licznych wojowników, wybranych z różnych poddanych jej plemion. I otóż przypominała sobie Makorę, towarzysza swych zabaw dziecinnych. Jednocześnie przypominała też sobie i starą rodową i narodową nienawiść względem Matabelesów, i nie tracąc ani chwili, wysłała silny oddział dzielnych wojowników w pomoc Makorze.

Ci bitni i doświadczeni wojownicy przybyli w sam czas. We dwie godziny później byłoby już zastali swych ziomków zgniecionych w straszną walce przemagającymi siłami nieprzyjaciół.

A więc, zamiast małej garstki ludzi, znękanych trudami ucieczki i upadłych na duchu, Matabelesy niespodzianie ujrzeli przed sobą silny zastęp świeżych wojowników. Przerażeni tępem, co czekało ich od króla, gdyby się zhańbili ucieczką, rzucili się wściekle, nie zważając na nic, na potężnego nieprzyjaciela. Wynik takiej walki był do przewidzenia; poszli wkrótce w rozsypkę, a szczątki ich nieliczne rozproszyły się na wszystkie strony. Wyprawa ich była na ten raz ukończona.

W trzy dni później młodzi biali nasi myśliwi uroczysto byli przyjmowani na dworze królowej Ma-Moczisany, wraz z Makorą, który wprzód jeszcze złożył u stóp królowej przysięgę wierności. Biednego wygnańca przyjmowali teraz ziomkowie tęp serdeczniej, że na wygnaniu ściągnął on na siebie gniew nienawistnego i im króla Matabele-sów.

XXXVIII.

Wspomnienia i żale.

— No, moi drodzy — rzecze Henryk naza-jutrz po przyjęciu na dworze czarnej królowej — czy nie mógłby który z was objaśnić mię w pewnej kwestyi, która mnie bardzo obchodzi?

— I owszem — odpowie William — zaręczam, że ja przynajmniej uczynię, co tylko będę mógł w tym względzie. Cóż chcesz wiedzieć?

— To, czy powinniśmy pozostawać dłużej w tej stronie świata? — mówił Henryk. — Czy który z was ma ważny jaki do tego powód? Co do mnie, wyznaję, że byłbym za tęp, abyśmy powrócili do Graaf-Reinet.

— I ja także — rzekł Arend śpiesznie.

— I ja! — krzyknął Hans. — Trzy ostatnie tygodnie najzupełniej mię wyleczyły z ochoty do polowania na girafy i do wszelkiego polowania. Już zresztą i na nas dostatecznie polowano.

— Przykro mi bardzo — mruknął William — że takie jest wasze zdanie, bo ja nie myślę jeszcze powracać. Wszak nie dopieśliśmy dotąd celu naszej wycieczki.

— To prawda — rzekł Henryk — i zdaje mi się, że go nie dopniemy.

— Dla czego tak sądzisz — spytał William zdziwiony.

— Spytaj raczěj, dla czego miałbym sądzić inaczej? — odparł Henryk. — Pomyśl, że człowiekowi rzadko się udają jego zamiary. Nasze dwie pierwsze wyprawy się udały, więc nic nie będzie dziwnego, gdy trzecia się nie powiedzie. Przecież nie można spodziewać się ciągłej pomyślności. Fortuna kołem się toczy. Głównem mojem życzeniem na teraz jest dostać się jak najprędzej do domu.

— Ja nie myślę jeszcze powracać — odrzekł William stanowczo — krótko bawiliśmy na wybrzeżach Limpopo, a i przez ten czas uzbieraliśmy znaczną ilość zębów hipopotamów. O girafy raz tylko pokusiliśmy się na dobre, a nie po to przecież wybrałem się w podróż tak daleką, aby wyrzec się przedsięwzięcia po pierwszej niepomyślnej próbie. Musimy przecież cośkolwiek zdobyć, choćby dla oka ludzkiego, w zamian za kosztą podróży

i za nasze konie stracone, a przedewszystkiem za czas stracony. Gdy jeszcze spróbujemy parę razy, i nie zdołamy schwycić giraf, wtedy może będę mógł cierpliwie słuchać mowy o powrocie.

Henryk i Arend myśleli o śmiertelnych niebezpieczeństwach, jakich cudem tylko uniknęli od miesiąca; myśleli także o swych narzeczonych. Hans o niczém nie myślał, tylko o upragnionej podróży do Europy. Ale choćby wszyscy trzej głośno odezwali się z temi myślami, nie miałyby one żadnego wpływu na Williama.

William wybrał się tu po młode girafy. Podróż kosztowała dosyć czasu i pieniędzy, a towarzysze jego nie mogli zaręczyć, że nowa próba nie powiedzie się i cel nie zostanie osiągnięty.

W drobnostkach codziennego życia William chętnie ustępował każdemu. Owszem, dla świętego spokoju gotów był zawsze zgodzić się na cudze zdanie, nie trudząc się nawet zaprzeczaniem. Ale teraz stał się nieugiętym, jak sztaba żelaza.

Tymczasem żaden z trzech myśliwych nie opuściłby za nic w świecie towarzysza w niebezpieczeństwie, i to jeszcze tak drogiego towarzysza i przyjaciela. Widząc tedy, jak mówił Henryk, że William jest niewzruszony w uporze, postanowili i oni chcąc nie chcąc zastosować się do jego woli.

Dowiedziawszy się, że o dzień drogi na zachód jest ogromny las czułkowy, często uczęszczany przez girafy, czterej młodzi nieustraszeni myśliwi postanowili tam się udać niezwłocznie.

Makora zajęty osiedleniem swego ludu, nie mógł im towarzyszyć, mimo serdecznej ochoty. Potwierdził, że girafy muszą być istotnie w owym lesie, zapewnił też, że jest tam miejsce odpowiednie do budowy hopo, i że będą mieli pomoc w jego poddanych. Dał im czterech swoich najlepszych gońców, aby wyprawiali ich po dwóch do niego w razie, gdy będą mieli co ważnego do doniesienia. Młodzi ludzie udali się więc w drogę z bronią i pakunkami, zadowoleni i zajęci tylko polowaniem. Nie potrzebowali już lękać się nieprzyciół, a opuszczając życzliwych sprzymierzeńców, pewni byli, że wkrótce znowu ich ujrzą.

Podróż była dość jednostajna zrazu; przerwał tę jednostajność jeden tylko mały wypadek, a i ten obchodził właściwie tylko psiarnię.

Przebywając wyżynę, zasługującą prawie na nazwę góry, myśliwi ujrzeli schodzącą z wierzchołka zapewne do wody gromadę pawianów *) (Cynocephalus porcarius). Myśliwi nie raz słyszeli, że

*) Mieszkańcy Przylądku i Hottentoci układają małpy tego gatunku do niektórych posług, jak pilnowania domu, poruszania młotów kowalskich, ale spuszczać ich z oczu nie mogą, bo natychmiast przestają pracować.

psy mają nieprzewyciężony wstręt do tych zwierząt, i naocznie przekonali się o tém. Psy rzuciły się ku małpom z taką wściekłą zażartością, o jakiej myśliwi wyobrażenia jeszcze nie mieli.

— Naprzód! albo przepadną nam psy! — krzyknął William.

Pawiany nie ruszały się z miejsca przed psią zjadłością, ale pierzchnęły za pierwszym wystrzałem Williama tak chyżo, że psy ich nie mogły doścignąć. Jeden tylko, trafiony kulą, przystał i na tego psy napadły; żadne rozkazy nie zdołały ich odwołać, dopóki go nie rozszarpały na sztuki.

XXXIX.

W lesie czulkowym.

Pochwycić girafy, było teraz jedynym celem młodych myśliwych; ryk lwa, widok słonia o najprzepyszniejszych kłach, byłby dla nich zupełnie obojętny.

Pod owym zapowiedzianym lasem czulków biegł żwawy strumyk, a na jego wybrzeżu były wyraźne ślady stóp pożądanых giraf. Niektóre, daleko drobniejsze i lżejsze od innych, dowodziły nawet, że je pozostawiły młode zwierzęta.

William był w doskonałym humorze. Był pewnym, że zaspokoi na koniec swą dumę myśliwską. Jego towarzysze, chociaż daleko mniej pewni powodzenia, pragnęli go jednak serdecznie.

Na drugi dzień po przybyciu na miejsce, widzieli wszyscy stado giraf, idące z lasu do wody. Bojaźliwe zwierzęta przysły tu nieświadome obecności ludzkiej w tém ustroniu, a zbliżywszy się na odległość strzału, dopiero nagle spostrzegły niebezpieczeństwo, zawróciły i uciekły jak wiatr w stronę przeciwną.

Henryk i Arend w pierwszym zapędzie rzucili się za nimi, William ich wtrzymał, mówiąc:

— Czy nie uważyliscie, że w tém stadzie było troje młodych? Te girafy prawdopodobnie przebywają stale w tym lesie, nie trzeba ich niepokoić, zapewne powrócą.

— Już na nie polowano — rzekł Henryk — pewny jestem, że widziałem strzałę sterczącą w boku jednej girafy. Jakiś murzyn bawił się zapewne, raniąc biedne zwierzę, którego w żadnym razie nie mógł zabić.

— Szkoda wielka, że nas widziały — rzekł William. — Może przecież i tak nie odejdą zupełnie od lasu. Trzeba nam zapewnić się, czy mają w tym lesie legowisko, potem pošlemy po ludzi Makory i zbudujemy hopo. Myślę, że to będzie jedyny sposób, aby je pochwycić.

Następnego dnia girafy się nie pokazały, myśliwi postanowili iść za ich śladem. Ujechawszy

piętnaście mil na zachód, spostrzegli drugi las czulkowy. Okrążając go, natrafili na jezioro, przy którym były liczne ślady stóp giraf, niektóre bardzo drobne i lekkie, a wszystkie bardzo świeże i najoczywiściej pozostawiane przez też same, już widziane zwierzęta. Młodzi ludzie ztąd wywnioskowali, że stado pasło się w obu lasach.

— Dosyć wiemy na teraz — rzekł William — trzeba posłać po ludzi Makory i budować hopo.

Zgodzono się na to jednomyślnie i zajęto wyszukaniem miejscowości odpowiedniej na hopo.

— Dla czego nie mamy go budować przy tym pierwszym lesie? — rzekł Henryk — łatwo nam będzie zapędzić tam zwierzęta, gdzieśmy je po raz pierwszy widzieli.

Zgodzono się i na to, i wysławszy dwóch ludzi z wiadomościami do Makory, myśliwi wrócili do pierwszego lasu i rozłożyli tam obozowisko.

W tymże dniu, w którym oczekiwano przybycia Makalolosów, Henryk i Arend poszli w górę rzeczki na polowanie. Wiedzeni żądzą właściwą myśliwcom, nie mogliby zapewne zasnąć w nocy gdyby dnia poprzedniego nie ubili jakiejś zwierzyny. Dochodzili właśnie do wielkiego lasu potężnych akacyj i innych drzew prześlicznych, gdy usłyszeli pod ciemnym ich sklepieniem ten niezwykły łomot i trzask, po jakim łatwo jest poznać bieg grubego zwierza.

— Baczność! Arendzie! zwierzyna się zbliża! — zawołał Henryk.

W chwilę później dwie wielkie girafy wybiegły z lasu i pędziły chyżo po równinie. Ale na grzbiecie jednej z dwóch siedział przyczepiony pazurami lampart i rozszarpał ją z wściekłością sobie właściwą.

Lampart jest tchórzem, i nie napastuje dużych zwierząt, chyba głodem zmuszony. Ale nie podobna było przypuścić, aby mu głód dokuczał w okolicy obfitującej w drobną zwierzynę, a zwłaszcza w ulubione mu antylopy. Zkądże więc doszedł do takiego zuchwalstwa? Może miał małe, a girafy, nieświadomie przybliżywszy się do jego legowiska, obudziły troskliwość macierzyńską zwierza.

Tak sobie tłómaczyli ten niezwykły widok młodzi myśliwi, nieruchomi na siodłach.

Wydostawszy się na równinę, girafa swobodna wyprzedziła znacznie towarzyszkę, która widocznie traciła siły. Krew ją oblewała, nie wiele już brakło, aby padła pod straszne zębami nieprzyjaciela.

Myśliwi byli świadkami rzadkiego zdarzenia: girafa napadnięta przez lamparta miała zginąć w pazurach zwierzęcia dziesięć razy od niej słabszego i dziesięć razy mniejszego.

Dwa psy, towarzyszące myśliwym, skoczyły za girafą, nie słuchając nawoływań. Ich pościg doprowadził nieszczęsną girafę do ostatniego szalu rozpacz. Zbierając ostatnie siły, uderzeniem tylnego kopyta odrzuciła jednego psa z roztrzaskaną czaszką o kilkanaście kroków, ale w tejże chwili, stając na trzech tylko nogach, zachwiała się, padła, a to w taki sposób, że przykryła potężnym ciałem lamparta i zgmiotła go prawie ciężarem swoim. Lampart, jak Samson, zginął pod gruzami własnego dzieła zniszczenia.

Upadek zwierząt wywiódł dopiero z nieruchomości myśliwych. Przypadłszy do drgających jeszcze stworzeń, skrócili ich cierpienia; Henryk kulą dobił lamparta, Arend długim nożem girafę. Potém, stojąc nad zwierzętami, myśliwi usiłowali zdać sobie sprawę z tego, na co dopiero co patrzyli ich oczy. Nieraz oni już słyszeli, że lew przyczepiony do grzbietu girafy przebywa całe mile w szalonym pędzie w ten sposób, ale podejrzewali wiarogodność takich opowiadań. Teraz jednakże mieli świadectwo własnych oczu, bo dla czegożby lew nie miał dokonać tego, czego lampart dokonał?

Skóra na szyi girafy, pomimo swój potężnej grubości, była poszarpana w kawały, żyły i arterye porozrywane. To wszystko nie mogło być dziełem jednej chwili; nie ulegało wątpliwości, że dużo czasu upłynęło, odkiedy lampart wskoczył na grzbiet girafy. Przez ten czas biedne zwierzę w szalonym bólu uniosło bardzo daleko swego mordercę, który tymczasem zapominał o czasie, o przestrzeni, o wszystkiém, pożerając chciwie wnętrzności nieszczęsnej swjej ofiary...

Ten lampart musiał mieć niezawodnie małe.

XL.

Nowy zawód.

W trzy dni po odejściu posłańców, trzydziestu ludzi przybyło do obozu pod lasem i zajęło się budowaniem hopy. Niecierpliwi myśliwi pracowali także od rana do nocy. Dwaj z nich dzielnie wzmachiwali siekierą, ścinając młode drzewa, które zabierali Makalolosy i zanosili na właściwe miejsce, osadzając je starannie pod nadzorem dwóch drugich myśliwych. Dobrze wybrano miejscowość, skutkiem czego budowa prędkiej postępowała i wymagała mniej trudów. Dwa boki palisady wysunięto trochę poza skraj lasu, który miał ledwo pół mili szerokości; jamę wykopano niezbyt głęboką. Dzięki usilnej pracy, ukończono ją w tydzień.

W tym przeciągu czasu girafy kilkakrotnie ukazywały się na około, gorączkując jeszcze bar-

dziej głowy myśliwych, i podniecając ich zapal. Mieli teraz nadzieję, że za trzy dni rozpoczną tryumfalny odwrót do Graaf-Reinet.

(D. c. n.).

Lamigłówka zgłoskowa.

(Od Anulki J. z Niszowice, dla Wandzi i Luni K. z Czabanówki).

Z następujących zgłosek: a—a—bo—bus—e—fi—gas—li—lon—lo—ra—re—siz—to—ułożyc wyrazy: 1. Rodzaj zagadki. 2. Gatunek papugi. 3. Imię używane w poezjach Karpińskiego. 4. Sławny przyrodnik szwajcarski. 5. Księżniczka hiszpańska z czasów Filipa II. 6. Gra towarzyska.

Lamigłówka głoskowa.

(Od Natalci O. dla Stasia R.).

o t o s
t y m i
k n u f
z e c ł
ę a r o

Z tych liter rozsypanych ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Lamigłówki zgłoskowe:

Mikroskop
Izyda
Ceylon
Kot
Iskra
Emrod
Wesele
Ilu
Celebes
Zyz.

Mickiewicz — Pan Tadeusz.

Lamigłówki głoskowe:

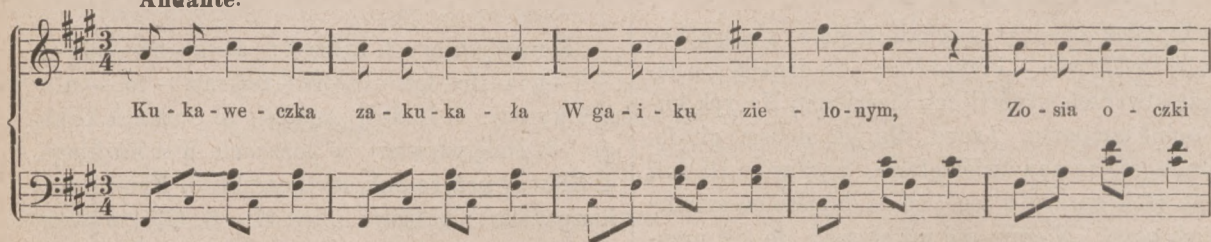
Jakie drzewo, takie owoce.

SIEROTA.

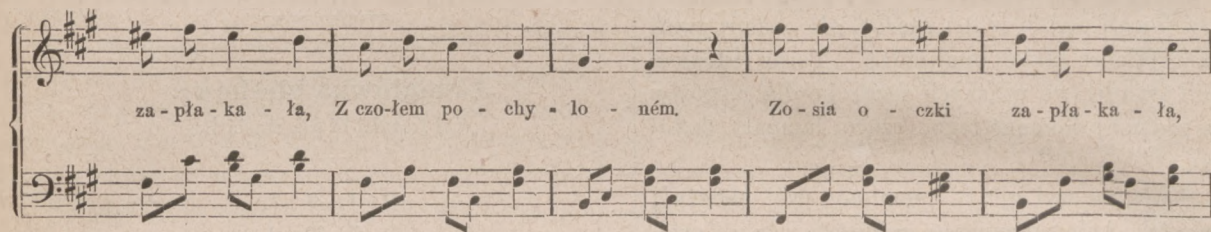
Muzyka Dominika Stanisława Pawłowskiego,

Słowa Ignacego Stopezańskiego (w N-rze 4 Wiecz. Rodz.)

Andante.

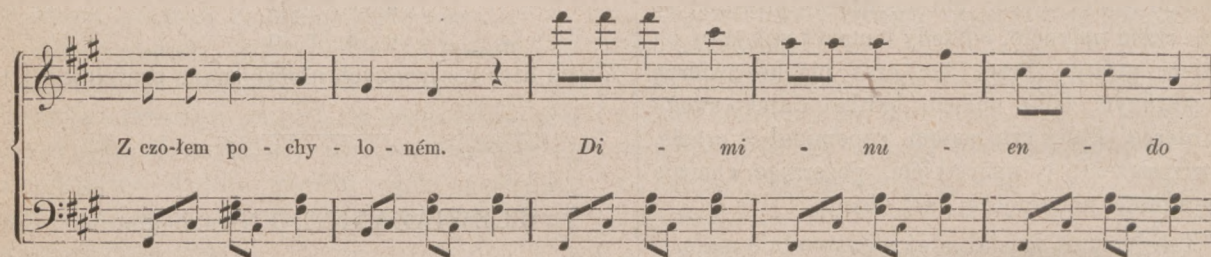


Ku - ka - we - czka za - ku - ka - ła W ga - i - ku zie - lo - nym, Zo - sia o - czki

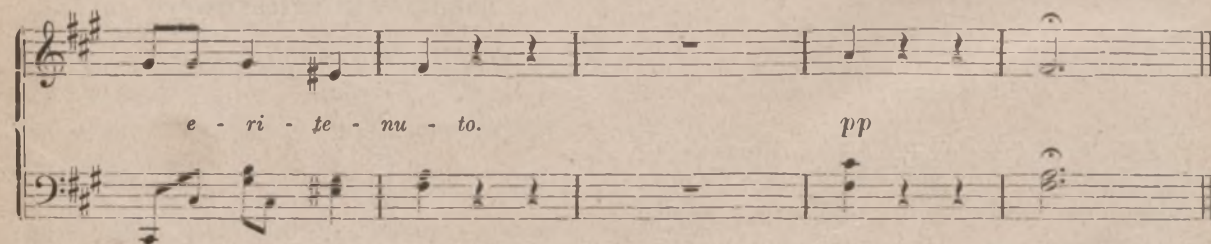


za - pła - ka - ła, Z czo - łem po - chy - lo - nóm. Zo - sia o - czki za - pła - ka - ła,

Dla zakończenia.



Z czo - łem po - chy - lo - nóm. Di - mi - nu - en - do



e - ri - ę - nu - to. *pp*

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



MAGDUSIA.

Biedna ja Magdusia, nęci mię książeczka
A paść gąski muszę bom wiejska dziewczeczka;
Oj dzieci wy które uczyć się możecie
Wy jesteście z wszystkich najszcześniejsze
[w świecie.

Azet.

KOMAR I PAJĄK.

(naśladowane).

Było to latem, słońce przygrzewało dnia
tego nadzwyczajnie, to też upał dokuczał
straszenie i ludziom, i zwierzętom, wieczorem
dopiero troszkę się powietrze odświeżyło.

Mnóstwo osób wyszło z mieszkań, aby
odetchnąć trochę na przechadzce, ale dzi-
wna rzecz, wszyscy tak jakoś niespokojnie
wyglądają. Każdy macha rękami, chustką,
każdy chwyta się co chwila, to za nos, to
za czoło, lub szyję, pociera ręce jedną
o drugą.

Aha! już wiem, to roje komarów tak wszy-
stkim przechodniom dają się we znaki. Ale
tęż mnóstwo tego drobiazgu lata w powie-
trzu i napastuje ludzi bez litosci. Komary
niedawno poczuły skrzydełka na wysmukłych

swych gorsecikach i latają, latają bez koń-
ca, takie szczęśliwe z tego miłego życia
w powietrznym przestworzu. Zapewne chcą
się pochwalić ludziom temi ślicznymi skrzy-
dełkami, bo brzęczą im nad uszami nieustan-
nie, migają przed oczyma, siadają co chwila
na nosie, na czole, na szyi przechodniów,
a przytęm posilają się krwią świeżą, zapu-
szczają ostre, długie żądła w ciało i pompką
wysysają krew z wielkim smakiem. A gdzie
tylko usiądzie taki drapieżny komar, tam
zaraz skóra puchnie, swędzi i boli.

Jakiś pan zdejmując kapelusz i pędzi nim
komary na wszystkie strony, potem wkłada
napowrót kapelusz na głowę, ale jeden ko-
mar zostaje w kapeluszu. Pan ma gęste wło-
sy, komar nie może się dobrać do jego skó-
ry, więc siedzi spokojnie.

— Ach, jak tu strasznie ciemno — mówi
sam do siebie. Co to być może takiego, ta
czarna otchłań? Raz także, pamiętam, było
mi tak ciemno, gdy wleciał w ucho ogro-
mnego wołu; ale ztamtąd przynajmniej mo-
głem się jakoś wydobyć, a ztąd ani rusz.

Wtęm przeszła jakaś pani, a pan ję się
ukłonił i zdjął kapelusz na chwilę, nasz ko-
mar obaczył znowu dzień boży i częmpre-
dziej wyleciał ze swojej ciemnej kryjówki.

— O, jakaż to miła rzecz swobodna! —
zabrzączał, rozwijając skrzydełka szeroko —
muszę się zbliżka przypatrzeć tęg grzeczną
pani, która mię uwolniła — i przeleciał tuż
przed oczyma owęg pani, a nawet, przez
wdzięczność zapewne, usiadł ję na nosie
i ugryzł boleśnie; pani trzepnęła batystową
chusteczką, odpędzając dokuczliwego komara
i mówiąc do swojego znajomego:

— Ach, cóż za nieznośne komary!

Biedny mały owadek odleciał częmpre-
dziej, ale miał skrzydełko mocno nadwerężo-
ne, musiał usiąść na grzbiecie przechodzące-
go pieska, aby wypocząć trochę, gdy w tęg
spozstrzegł prześliczne, jasne światelko. Ście-
mniło się już było tymczasem i zapalano la-
tarnie po ulicach.

— Oto tam dopiero musi być rozkosznie!
— woła komar zachwycony — gdybym ja mógł podlecieć do tego światelka, nic bym już więcej nie pragnął w życiu.

Mocuje się, jak może, przeciąga jedno skrzydełko, drugie, nakoniec unosi się w powietrze i leci prosto do latarni. O, co tu przyjaciół i znajomych! Cały rój komarów krąży przy zapalanej latarni, bo wszystkim to piękne światelko bardzo się podoba. Ale na nieszczęście nie łatwo się do niego dostać, bo szklanna tafla przeszkadza. Nasz komar podlatuje ze wszystkich stron, aż tu nagle coś go chwyta za łapkę, wrywa się z całej siły, ale i druga łapka grzęźnie w jakichś więzach straszliwych, i trzecia, i czwarta, biedny komar wpadł w sieci pająka!

Co tu robić? Martwe szczątki kilku komarów i różnych innych drobnych muszek wiszą dokoła na cienkich niteczkach pajęczyny, uwięziony owadek widzi, jak smutny los go czeka, wyteża wszystkie siły, wołałby już jedno skrzydełko zostawić, a choćby i łapkę, byle z życiem się uratować, lecz wszystko nadaremnie. Wtém, o zgrozo! Olbrzymi pająk spuszcza się z góry i długa, kosmata łapa dotyka ciała komara.

— Siedź że cicho, ty malcze utrapiony — mówi pająk z gniewem — porwiesz mi pajęczynę, jak zaczniesz się tak trzepać i szarpać na wszystkie strony. Oho! jaki to tęgi, wypasiony komar, będę miał wyborne śniadanie na jutro. Dziś już niegłodny jestem, wyssałem z piętnastu twoich braciszków. Ale powiadam ci, siedź spokojnie, zniszczysz zupełnie moją pajęczynę, o, już trzy niteczki zerwałeś.

— Potężny pająku! — rzekł komar błagalnym głosem — nie pożeraj mnie, zaklinam cię na wszystko. Ja tak niedawno żyję, dziś rano dopiero z wody wyfrunąłem, a świat taki piękny i ciekawy! Już nie będę targał twojej pajęczyny, ale bądź wspaniałomyślny, wypuść mię na swobodę.

— Musi być bardzo smaczny ten malec, taki tłusciutki — mówił pająk, otwierając cztery pary oczek i przypatrując się komarowi — ale roztropne jakieś stworzenie i żal mi doprawdy młodego jego życia. Powiada, że wyfrunął z wody. Czy to być może? Nigdy o tém nie słyszałem, ażeby komary z wody wychodziły. Nic w tém niema niepodobnego, bo zkądżeby się brało takie mnóstwo tego drobiazgu? A toż ja tam codziennie całemi tuzinami je chwytam na śniadanie, na

obiad i na wieczerzę, nigdy ich jednak nie braknie, póki ciepło na świecie. Dzisiaj najadłem się tak, że aż się niestrawności obawiam. Słuchaj, mały, opowiedz mi, co ty tam robiłeś w wodzie i jakim sposobem z niej wyfrunąłeś, a dam ci słowo, że cię nie zjem i wypuszczę na swobodę.

— Najchętniej — odrzekł komar — ale mi tu bardzo niewygodnie, bo jestem zawieszony głową na dół. Bądź łaskaw rozplącz troszkę tę pajęczynę, żebym mógł oprzeć się na łapkach i usiąść tak, jak należy, a zaraz rozpocznę opowiadanie.

— No dobrze, dobrze — powiedział pająk, i sam przerwał ostrożnie parę nitek pajęczyny — nie wypuszczę cię zupełnie, póki się od ciebie nie dowiem wszystkiego, ale teraz możesz sobie usiąść wygodnie.

— Bardzo dziękuję — rzekł komar — teraz mi doskonale, gotów jestem gawędzić, ile ci się podoba.

I komar przeciągnął skrzydełka, łapki, spojrzął na śliczny płomyczek, błyszczący w latarni i opowiadał w te słowa:

(D. c. n.).

BĘBENEK I RÓŻA.

Józio od samego ranku
Latał, bębnił bez ustanku,
Nie mógł się swoją nacieszyć zabawą;
Gdzie się tylko ruszył,
Wszystkich swoim hukiem, wrzawą,
Gonił, wypędzał i głużył;
Tak się radował, zapalał,
Ledwo nie szalał.

* * *

Lecz gdy nareszcie po długiej swawoli
Już się nalatał, nabębnił do woli,
Stanął nagle zadumiały:
Dziwna go jakoś ciekawość porywa,
Dla czego ten bębenek mały
Tak się zabawnie odzywa?
Bierze go, patrzy, ogląda chłopczyńa,
Zgłębiać zaczyna...
Nareszcie z miną zawoła radosną:
— W środku coś siedzi, co huczy tak głośno!
A ledwie temu uwierzył,
Tak z całej siły uderzył,
Ze przedziurawił sam środek bębenka.

* * *

Na drugiej stronie spokojna Helenka
Wdzięcznie stulistnej dziwiła się róży.

— Któż wie — do siebie powiada,

— Czy też w istocie ten kwiat pełen, duży
 Z stu listków się składa?
 Któż je rachował? może ludzie błędą
 I z pozoru sądzą;
 Nie trzeba zaraz uwierzyć tak śmieie,
 Sto listków, to jest za wiele!
 A więc się swoim liczeniem zajmuje,
 Listek po listku wrywa, rachuje;
 By się nie zmylić układa w porządku
 Dziesiątek przy dziesiątku,
 Zupełną liczbę znajduje.

Lecz cóż się dalej naszym dzieciom stało?
 Jedno i drugie swą stratę poznało;
 I do czego ciekawość na tym świecie służy!
 Józio płakał bębenka, a Helenka róży.

Franciszek Morawski.

I ja chcę do szkoły!

— Proszę Mamy! — wołał Oleś, wpadając do salonu zaperzony — czy to prawda, że Antoś nie będzie się dłużej ze mną uczył w domu, tylko do szkoły będzie chodził?

— Prawda — odpowie Mama.

— To i ja chcę do szkoły chodzić! i ja nie chcę uczyć się dłużej w domu! — wołał Oleś ze łzami w oczach.

— Owszem, pójdziesz i ty do szkoły — odrzekła Mama — tylko wprzód odzwyczaisz się od mówienia „ja chcę“ i „ja nie chcę“ bo dzieci tylko tak chcą, jak im starsi każą, i od płaczu o każdą drobnostkę, bo koledzy w szkole przewaliby cię beksą; i nauczysz się czytać, żeby nie śmiano się z ciebie, żeś nieuk.

Oleś po raz pierwszy w życiu zastanowił się wtedy nad słowami Mamy i nad tem, że Antoś doskonale umie czytać, i że nigdy nie mówi „ja chcę“ albo „ja nie chcę“... i nad swoim częstym płaczem zastanowił się Oleś. A jak się raz zaczął zastanawiać, to mu tak pomogło, że zabrał się szczerze do nauki, wstrzymał się od mazgajenia, przestał mówić „ja chcę“ i... w rok później poszedł także do szkoły.

JÓZIA W KRAINIE LALEK,

wyjątki z listów małej podróżniczki.

(Dalszy ciąg).

Wyobraźcie sobie u człowieka nos długi na parę łokci którym przebić możnaby i nadsiać nań ze dwóch ludzi od razu! Kuglarz

sądząc że zabawi córeczki szczodrego jakiegoś ojca biegł już koło powozu zdaleka, ale konie nosa swego otoczony motylkami, wsadził do powozu dmuchając przezeń na motylki swoje. Na krzyk przerażonej Józki napróżno uspakajanej przez panie, obejrzeni się jadący napróżd w wózikach panowie. Ojciec Józki przestraszony chciał wstrzymać swój pojazd, ale łatwiej jest zatrzymać parę rozhukanych koni prawdziwych niż tych dzikich ludzi biegaczy; szczęściem pan Poncet zrozumiał od razu co się dzieje i jedną ręką skinął uspakajając na ojca Józki, a drugą przyzywał do siebie kuglarza. Kuglarz przyskoczył natychmiast do pana Ponceta i na rozkaz jego i za nowy datek odjął natychmiast swój sztuczny nos, obejrzawszy się tylko czy nań kto z herbaciarni nie patrzy, bo oni gwałtem chcą wprawiać w tłumy że owe nosy są prawdziwe. Ale herbaciarnia i jej goście daleko już zostali. Więc stał spokojnie przy drodze kuglarz japoński nos swój dłuższy od samego siebie trzymając w ręce jak trąbę jaką albo halabardę, i kłaniał się grzecznie Józce uspokojonej już w uściskach mamy i przejeżdżającej tuż koło niego patrząc nań ciekawie. Trzeba zaś wiedzieć, że było znów na co patrzeć, bo grzeczność japońska jest sławna na cały świat, najgrzeczniejsze dziecko mogłoby się jeszcze grzeczności od Japończyków nauczyć. Więc było na co patrzeć, kiedy kuglarz, pojawiwszy nakoniec, że przestraszył dziecko europejskie, zaczął kłaniać się po swojemu, przepraszając gestami tak istotnie uprzejmie, że ujęta jego dobrocią Józka uspokoiła się zupełnie i zdaleka jeszcze mu się wzajemnie ukloniła. Kuglarz potem znikł, pędząc napowrót ku herbaciarni; powozy pędziły wciąż w swoją drogę, a Józka usiadłszy spokojnie na swoim miejscu i zastanowiwszy się nad tem, co zaszło, aż spłoneęła rumieńcem ze wstydu za swoje własne dzieciństwo... Bo przecież wiedziała już całą prawdę od Matyldy o tych nosach kuglarskich, zanim się takiego nosa przeleżała, jak jakie dziecko, nie rozumiejące kuglarstwa.

Uspokoiła się dopiero, gdy panie i Matylda głośno mówiąc o tem, przyznały, że powstać ludzka z takim nosem tak jest brzydką, iż przestraszyć się jej można, wiedząc nawet dokładnie, że ten nos jest sztuczny. Tymczasem powozy ciągle szybko pędziły po drodze, błyszcząc jak dyamentowa, gdyż ubita była prześlicznymi zmiążdżonymi muszlami, i nagle stanęły:

— A to co? — krzyknęła Józia — czy to Paryż? — i umilkła nagle biedaczka, zaczerwieniawszy się ze wstydu, że mogła choć niechcący powiedzieć, iż wyjechała z Japonii, nie płynąc przez morze.

— Nie, duszko — rzekła Matylda, nie śmiejąc się wcale — to jest dworzec kolei żelaznej. Nic dziwnego, że ten gmach przypomniał ci gmachy Europejskie, bo Tatko powiada, że i w Europie wspanialszych niema.

— W ostatnich czasach — rzekła pani Poncet — Japończycy starają się we wszystkim dorównać Europejczykom. Dla tego budują się tu obecnie takie gmachy, jakie nigdy na wulkanach istnieć by nie powinny.

Pani Poncet westchnęła tak mówiąc, a Józia, zrozumiałwszy jej myśli, zadrżała z przestachu i pomyślała także, co by to było, gdyby ziemia się zatrzęsała pod temi ciężkimi murami, pełnemi ludzi!.

Ale nie było czasu nawet bać się, bo pociąg ruszył, zaledwo wsiąść zdążono. Wszystko koło dworca i on sam było zupełnie po europejsku, ale zaledwie ruszono z miejsca, już znowu ukazały się japońskie domy papierowe, w których najczęściej odjęta była cała główna ściana, i widzieć można było wszystkich mieszkańców i całe wnętrze.

Józia patrzyła i napatrzeć się nie mogła. Zdawało jej się, że to są marynetki, którym lubiła przyglądać się w Paryżu, i że krzątają się tak w ślicznych domeczkach bez ścian, udając zatrudnienia ludzkie, jedynie dla uciechy widzów. A gdy taki domeczek mijano, to on uciekać się zdawał w tył za pociąg kolei, jak zwykle zdają się uciekać przydrożne przedmioty, koło których po różnej drodze szybko jedziemy. Wtedy oczy Józii padały na kwiaty drzewiaste i drzewa kwieciste, nappełniające wszędzie całe obszary. Ponad niemi wznosiły się w głębi całe góry kwiatów, a nad nie wszystkie wznosił się Fuzi-Yhama, ów wulkan, który już Józia odróżniać się uczyła wśród gór innych.

— Więc kiedyż my z tego miasta, czy tam z tych przedmieść wyjedziemy? — spytała Józia nareszcie. — Jak żyję nie widziałam tak wielkiego miasta, które by kolej żelazna tak jak tu jest, przecinała.

— Z miasta wyjechaliśmy dawno — zapewniła Matylda — jedziemy szczerem polem, i niedługo już zajedziemy do Yeddo.

— Polem? polem? — pytała Józia, — a gdzież to pole? przecież to ciągle miasto, bo pełno jest domów w ogrodach!

— Bo w Japonii — odpowie Matylda — niema też naprawdę takich różnic pomiędzy wsią, miastem i polem, jak po innych krajach. Tu w istocie cały kraj jest kwitnącym ogrodem, a w tym ogrodzie rozsiane są domki, i świątynie, i szkoły, i sklepy; gdzie więcej domów, tam miasto, gdzie więcej kwiatów, tam wieś i pole; zresztą niema żadnych rogatek, ani wałów, ani murów odgraniczających.

Jeszcze Matylda mówiła, gdy pociąg stanął wśród gromadki domeczków otwartych na wszystkie strony, z otoczeniem kamelii kwiatem okrytych.

— Czy to herbaciarnia? czy na herbatę stajemy? — pytała Józia której przejażdżka dodała apetytu.

— Tak, to herbaciarnia, a jej właściciel jest zarazem ogrodnikiem, jak tu zwyczajnie — rzekł pan Poncet, podając Józii rękę przy wysiadaniu z wagonu, — ale też jest to i Yeddo zarazem, tylko kwieciste drzewa zastępują miasto.

(d. c. n.).

konc

ZAGADKA.

Co to jest za wyraz, z trzech liter złożony,
Który może znaczyć ludzi zgromadzenie,
Lub część jakąś wody, niby w szkło zmienionęj,
Jeśli tylko średnią literę odmienię?

Łamigłówka w kwadraciku.

(Zosi W.).

W kwadraciku z 16 podziałek umieścić
6A — 2G — 2M — 2N — 2O — 2R — ażeby
utworzyć w obu kierunkach: 1. Rodzaj psa.
2. Ćwiczenie muzyczne. 3. Imię biblijne. 4. Część dnia.

Rozwiązania do Nr. 29-go

Szarady:

Ka — pu — sta.

Łamigłówki kryształowej:

K.
L A S.
S A N I E.
K A N A R E K.
M A R Y A.
L E N.
K.